

Gorące powietrze zdawało się wręcz drzeć od temperatury. Czula suchość w gardle, spękane od upału usta łaknęły wody. Nie sięgała jednak po manierkę ukrytą głęboko w torbie. Delektowała się tym. Tym duszącym uczuciem leniwego spokoju, usypiającym czujność. Pokusa położenia się wśród złotych kłosów jęczmienia była silna, lecz zamiast tego wędrowała pomiędzy nimi, gładząc ciężkie dojrzałe nasiona. Odsuwała od siebie ukłucia bólu gdy wyschnięte liście roślin kaleczyły ją w tydki.

- To ostatnie takie lato - powiedziała do truchtającej za jej plecami dziewczynki.

Ta nie odpowiedziała skupiając się by goniąc mentorkę nie zgubić kroku i nie skręcić sobie kostki na któreś z dziur które ryły gryzonie w polu.

- Zaraz zaczną się Zażyńki - kontynuowała kobieta - plony w tym roku będą nad wyraz urodzajne. Spichlerze zapełnią się po brzegi, zostanie aż nadto by obsiać zimowe pola i przeżyć zimę z pełnym brzuchem. Nie wiem jednak czy w przyszłym roku będzie komu te plony zebrać.

Kobieta zatrzymała się na moment, obracając by spojrzeć na majaczący w oddali szczyt Otorten i górującą nad okolicą twierdzą paladynów Rugiewita. Gęsty las na zboczach góry obiecywał ulgę którą daje cień, zamiast tego wybrała się na wędrówkę.

- Nie spodziewałam się. Nigdy nie zakładałam, że za mojego życia, lub kogokolwiek z moich następców usłyszę takie słowa. I to ostrzeżenie.

Mimo otaczającej jej duchoty poczuła jak zimny dreszcz przebiegający wzdłuż jej kręgosłupa. Na nic się zdawały gorące liźnięcia Sola które czuła na skórze, jakby mające dodać jej siły. To było dla niej trudne. Czekać. Ścieżka którą obrała w życiu kazała jej przejść do natychmiastowego działania, przejścia do ofensywy. Jak jednak walczyć miała z wrogiem tak potężnym, będącym poza jej zasięgiem. Nie miała narzędzi, a jedynie ostrożnego sojusznika który takie dźwiał.

- Może jednak Jaczemir ma rację. W końcu Luna obdarzyła go swymi łaskami. Może warto działać powoli... Chociaż. - Mówiąc to zatrzymała się i spojrzała na wschód. - Zbiera się burza, a stare drzewa się pod nią nie ugną. Złamią się, lub przetrwają. - Słońce na bezchmurnym niebie prażyło tak mocno, że musiała zmrużyć oczy pogłębiając siateczkę zmarszczek ukrytych w ich kącikach. - Czyż nie powinnam zadbać by siewki i podrosty nie ucierpiały gdy zmurszałe pnie i stare gałęzie zaczną padać pod jej napływem?

Jakby na potwierdzenie jej słów zerwał się wiatr. Kłosa zafalowały, złote morze otoczyło ją jakby chciało ukoić ból nadchodzących wydarzeń. Nawet w służbie Ei wciąż była człowiekiem, a posiadanie ludzkich uczuć czasem stało w sprzeczności z odpowiedzialnością którą dźwigała na barkach. Kosmyki włosów pod naporem powietrza wyrwały się ze starannie zaplecionej z warkocza korony i uderzyły ją w oczy. Ponaglenie by wrócić do swych obowiązków.

Z głębokim westchnieniem ruszyła w drogę powrotną, tam gdzie wśród kłosów na ziemi leżała chusta i naczótek. Nie zważała na bawiące dziecko pozostające gdzieś w tyle. Zaś dziewczynka chichotała radośnie, wirując wśród odpowiadających na dotyk wiatru łanów zboża. Nie obciążała jej odpowiedzialność za losy innych, nie musiała podejmować decyzji, szukać sojuszy i węszyć wrogów. Cieszyła się tą ulotną dziecięcą radością, brakiem strachu przed tym co przyniesie przyszłość nie bacząc na to, czy nastąpi kolejny dzień. Bo w świecie takich podrostków jak ona, co ledwie sięgają do kamionki z ciastkami stojącej w głębi blatu, były prawdy nie do obalenia. Jak to, że Sol wszędzie na wschodzie, że Ea będzie ich karmić, że wiosną drzewa zielenieją a na jesień gubią liście. Obce były jej ból i cierpienie. Nieznajomą była dla niej ta, którą nazywa się Wojną. Nie dane jej było poczuć głodu który wykręca żołądek zmieniając go w supeł. Nigdy nie zaznała pragnienia które odbiera głos. Była dzieckiem, a prawem dziecka jest być wolnym od takich uczuć.

Kobieta dotarłszy do swych rzeczy na nowo założyła naczótek, pozwalając by czerwone koraliki przysłoniły jej częściowo wizję świata. Umocowała białą chustę, zdobną czerwonymi taśmami tak, by osłaniała jej włosy i ramiona. A gdy była blisko zebranej na skraju pola, w cieniu drzew, grupki chłopów. Na ich czele stał postawny, bogato ubrany jak na kmiecia mężczyzna.

- Szanowna, jeśli dłużej będziemy czekać to zboże uschnie, nie będzie co jeść... - Zaczął lecz momentalnie przerwał gdy kobieta podniosła dłoń, nikt o zdrowych zmysłach nie chciał zdenerwować przywódczyni kowenu druidów.

- Zaczynjcie przygotowania do Zażynek. W tym roku Ea nas pobłogosławiła, będąc żyzną i chętną by wszystko co w niej zasiane dało bogaty owoc. - Uśmiechnęła się spod koralików. - Niech wieść się poniesie. Niech głos przepiórki rozbrzmi w każdym z północnych siół. Możecie zabierać się do pracy.
- Dziękujemy szanowna Flaminiko. Dziękujemy.
- To nie mi powinniście być wdzięczni. To Ea i pani Gabona to uczyniły. W podzięce przygotujcie najpiękniejsze świętowanie by poczuły waszą radość. Na mnie czas. Muszę wrócić do mych braci i sióstr przekazać im radosną nowinę.

Obejrzała się jeszcze raz na pole, badając je uważnie wzrokiem. Nie dostrzegła jednak nigdzie bawiącej się dziewczynki, głucha była też na jej chichot. Bo i jak miała ją usłyszeć? Nie dla niej był widok szczęścia na rumianym licu, nie dla niej były przeznaczone setki ciekawskich pytań które czasem miały odpowiedzi na podporządkowaniu, a czasem sama nie знаła na nie jeszcze rozwiązań. To wszystko dawniej było jej, teraz pozostawała tylko głucha cisza. Sławka nigdy nie zazna wojennego cierpienia, nie zazna goryczy i radości życia. Jak by miała, skoro od miesiąca z okładem trzymała się nie spódnicy mentorki a szat Velei. Czasem, zbyt często wręcz, Mojmirze brakowało tej rozczepotanej istotki. Szukała jej wzrokiem, lecz na próżno. Czasem zdawało się jej, że ją słyszy, że czuje znajomy zapach miodowych ciastek które dziewczynka podkładała, że znów czuje uwieszony na skraju chusty ciężar jej dłoni. Nie czas był jednak na żalobę. Czasem, musiała być druidką, a nie człowiekiem wypełnionym wątpliwościami.

Michajłow Vestarsson czuł, jak kropla potu powolnie spęza mu po karku gdzieś za kołnierz kaftana by kontynuować swą wędrówkę wzdłuż kręgosłupa. Nie ważył się jednak drgnąć, nie gdy stukot paznokci o blat odliczał do wyroku który miał usłyszeć. W naturze Olgi nie było jednak przyspieszać naturalnego biegu wydarzeń. Zamiast tego rozparta w fotelu prażyła się w słońcu wpadającym przez ogromne okna jej gabinetu. Widok portu zawsze ją uspokajał, pomagał zebrać myśli. Pozwoliła by jej oczy błądziły leniwie obserwując niczym mrówki uwijających się w porcie żeglarzy. Patrzyła na rozładowywane pakunki, na wnoszone bele materiałów. Beczki smoły były transportowane do stoczni, podczas gdy żony i córki rybaków naprawiały sieci w porcie rybackim. Ktoś się kłócił przy rozładunku, ktoś wymieniał szkatułę złota w zamian za dostarczone towary. Olga trwała w bezruchu patrząc. Mężczyzna szczerze marzył, by chociaż jedno z okien było otwarte, jednak wiedział, że o ile główna koordynatorka oddziałów handlowych lubi widok morza to nienawidziła zapachów które mógł przynieść zachodni powiew do jej gabinetu. W końcu jednak dłoń Olgi zamarła, przestając wystukiwać monotony rytm.

- Powtórzmy to jeszcze raz, zanim zwołałam spotkanie dyrektorów. - Głos miała ochryply, jakby dopiero co wstała, niski jak na kobietę, stanowczo bardziej przystawał do jej surowego charakteru niż urody. - Kto był kadrą decyzyjną na północy Ofiru?
- Villiers, oraz panie Nightbreez. - Odpowiadał krótko, zwięźle. Tu nie było miejsca na długie dyskusje, emocje, tylko suche kalkulacje.
- Ratatoskr to zatwierdził?

Odpowiedzieć mógł dwojako, więc zawahał się na moment. Prawie wypełzło z jego ust "najwyraźniej", jednak przełożona mogła to źle zinterpretować. Czytała raporty i kopię dokumentów przesłane do jej gabinetu tydzień temu. Jednak najwyraźniej musieli przebrnąć przez to jeszcze raz.

- Tak.

Cisza. Miał wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu spadła o kilkanaście stopni po tym jednym krótkim potwierdzeniu. Wielokrotnie był pytany czemu pracuje dla Olgi, sam nie umiał odpowiedzieć. Może to adrenalina? Wejście do tego gabinetu było jak sprawdzanie stanu zębów u morskiego węża. Nie wiesz kiedy postanowi zatopić kły w twojej ręce i czy wyrazi chociaż minimum wdzięczności gdy usuniesz niedogodność która sprawiała mu ból.

- Kazali... - Tu na moment rzęsy przysłoniły jej oczy, gdy opuściła spojrzenie na kopie dokumentów leżących na mahoniowym blacie. Prawdopodobnie gdyby był tymi papierami to oddałby wszystko by zapaść się w słoje drewna i zniknąć. - Wycofać wszystkich naukowców i personel... - tu przemilczała fragment rozkazów wyraźnie studiując jego treść - Ludzie Vignetty odeskortowani do pomocy CNM, również mają się wycofać. Wszystko jak najszybciej.
- Tak. - Bo co innego mu zostało, zaprzeczyć prawdzie?
- Ile mieliśmy placówek i ludzi na Południowym Stepie? - Machnęła ręką. - Nie, nie odpowiadaj. Wiem, znam liczby. - W odpowiedzi więc milczał. - To oznacza, że albo pracownicy mogli wykonywać polecenia zawarte w rozkazie, albo wywieźć wrażliwe dokumenty. "Jak najszybciej" oznacza, że część materiałów badawczych albo musiała zostać na miejscu, albo natychmiast zniszczona.

I znów cisza, tylko tym razem z obu stron biurka.

- Nalej mi. - Luźno machnęła w stronę stojącej w cieniu chłodziarki cicho mielącej manę by zapewnić ochłodę jej napojom, przez pełną dobę, nie ważne czy tu była czy nie. - Sobie też. Upał dziś.

Milczała, aż do momentu gdy pełen do przepisowych trzech czwartych kryształowy kieliszek nie stanął na biurku. Szron zbierał się na ściankach naczynia skrząc w promieniach słońca, a likier z talsojskich pomarańczy wyglądał niczym płynny bursztyn. Napój kosztował tyle co kwartał pracy dokerów, Michajłow z przyjemnością pociągnął łyk z własnego naczynia.

- Ilu zostało? - Rozbrzmiało ciszej. - Procentowo.

- Około dziesięciu procent kadry naukowej. Odmówili ze względu na brak możliwości wycofania materiału badawczego. Blisko dwanaście procent zwykłych pracowników, nie wliczając w to rdzennych Samnijczyków zatrudnianych na miejscu.
- Zrozumiałe. I nieakceptowalne. - Postukała paznokciem w kant kryształu badając barwę jego dźwięku. - Trudno. Mleko się rozlało. Weź przygotowane listy, leżą na sekretarzyku. Prawy stos zanieś do najbliższej placówki Vignetty, niech to wyślą priorytetowo. Lewy dostarczysz osobiście. Tak, ten dla Enrique Santiago Núñez de la Cruza też. Do końca tygodnia gości na bankiecie Rosgalenów. - Przeniosła spojrzenie znów na niego, oceniając tym razem jego pomięty wełniany kaftan i zaczerwienioną od gorąca twarz. - Ale najpierw ubierz się porządnie. Jak na mojego asystenta przystało.
- Oczywiście pani Olgo. - Przemilczał fakt, że wciąż był po wykonywaniu poprzedniego zlecenia, przez które musiał wyglądać jak lekko przegniły Liryz i nie miał czasu nawet zajrzeć do domu, bo wezwała go w trybie natychmiastowym.

Nie powiedziała już nic więcej, zamiast tego obróciła się znów na fotelu wystawiając twarz w stronę portu, pozwalając, by popołudniowe słońce ogrzewało jej orli nos. Michajłow potraktował to jako zezwolenie na wyjście i niewiele myśląc złapał paczki analizując którądy najszybciej dostać się do placówki pocztowej, by nie ugotować się w sierpniowym skwarze.

Blado-niebieskie światło lumiwizjera było usypiające, tak samo jak monotonne ciche brzęczenie całości maszynierii. Enrique nawet nie starał się wyglądać jakby nie drzemał. Może przez to, że spotkanie ciągnęło się już czwartą godzinę, a to oznaczało kolejne zmarnowane dziesiątki bezantów, które mógłby w tym czasie zarobić. Albo cztery godziny, które miał w planach spędzić na powolnym spacerze nad Loranis z małżonką. Najgorsze było to, że już wszelkie ustalenia padły, a oni kręcili się w kółko zaplątani w korporacyjnych hierarchiach, jednak jako jeden z ważniejszych udziałowców powinien być obecny na spotkaniu.

- W odniesieniu do omówionych strat wynikających z utrzymania naszych dominujących wpływów...

I znów to samo. Poprawił się wygodniej na fotelu który już wgrzył mu się w plecy boleśnie. Pozwoliłby sobie na to by odpłynąć w sen, gdyby nie ciche skrobanie pióra na papierze. Rozchylił powieki, by zerknąć na córkę siedzącą po drugiej stronie biurka. Pilnie przysłuchiwała się dyskusji by w razie potrzeby dać mu odpowiednie dane pod ręką. To było całkiem zaskakujące jak dziewczyna coraz lepiej sobie radziła w interesach. Cechowała ją niezwykła ciekawość i łaknienie wiedzy, a zarazem kompletny brak strachu przed odezwaniem się. Jak to mawiał jego brat *“gorąca styryjska krew, spróbuj zirytować którąś z naszych kobiet, a wycieczka do pustki będzie wydawała się miłymi wakacjami w porównaniu do tego, co Ci zgotuje”*.

- Co za tym idzie, straciliśmy pozycję do dyktowania warunków. Będziemy musieli negocjować...

Enrique już doskonale to wiedział. Jego ludzie szybko przeliczyli, ile kosztować będzie Kompanię tak pilne wycofanie się z Południowego Stepu, a co za tym idzie, ile zarobi on sam. Ten ruch oznaczał niewyobrażalne straty pieniężne, a także problemy globalne. Utrzymanie źródła Wedry było kluczowe w dostawach żywności do Tryntu, a także Nowej Birki oraz późniejszym eksporcie. Sam upadek Ofiru oznaczał renegocjacje umów handlowych, zmiany cła, oraz ustabilizowane rynki. Giełda oszałała gdy tylko pierwsze wieści o tym co się stało ze wschodnim molochem dotarły do reszty krain. Ceny ziarna skoczyły o półtorej swojej ceny, oliwy dwukrotnie, a za baryłkę wina z arethyńskich winnic żądano teraz trzykroć dawnej ceny. Oczywiście wszystko było zasługą spekulantów wykupujących na zapas magazyny. W tym samym czasie spadła o dwakroć cena owczego sera a bele tryntyjskiego sukna o połowę wartości. Tryntyjski eksport wzrósł, ale ich gospodarka zamiast zyskać słabła, bo byli zależni od dostaw z Ofiru - kupno zboża z Quasyran były horrendalnie drogie. Ceny żywej działki w każdym z państw rosły z dnia na dzień, tak samo jak wartość soli, srebra i złota. A to wszystko poszło lawinowo po tym, jak ktoś z Kompanii zdecydował się wycofać wszystkich z południowego Stepu.

- Ktoś musi za to odpowiedzieć. - To jeden z inwestorów, chyba Faro Viremont, wreszcie przerwał te płonne dyskusje.

Na łączu zapadła długa cisza. Wszyscy uczestnicy znali dokładny skład kadry decyzyjnej podczas misji w północnym Ofirze. Przerwał ją dopiero starszy dyrektor wykonawczy Mjal Iorundson Rataatoskr.

- Ja odpowiem. Ja byłem najwyższy stopniem na tamtej misji. To ja dopuściłem...
- I sądzi Pan, że co? Światowe konsekwencje, zmiany giełdowe, widmo głodu w Tryncie, utrata strategicznych obszarów. Wystarczy, że pan przeprosi? - Oburzył się Faro.

Enrique uniósł się i oparł o biurko. Zaczynało się robić ciekawie. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, że to wszystko, co wymienił właśnie Wergund, było przeliczalne na pieniądze, o które stał się uboższy. Kompania mimo wszystko nie była tworem działającym charytatywnie, zawsze na szali były bezanty i sztaby złota.

- Nie. Ustąpię ze stanowiska. - Widać było, że Mjal walczy z własną naturą, że stara się wyjść na opanowanego.
- I znów, to ma zrekompensować w jakimkolwiek stopniu...
- Dość. - Iorund Ivardsson rzadko przemawiał, na spotkaniach, zwykle się im przysłuchując. Jednak jako jeden z założycieli Kompanii i główny dyrektor fiordyjskiej filli miał posłuch, a teraz jeszcze poruszana była kwestia jego syna, który doprowadził do lawiny na skalę światową autoryzując rozkazy w Ofirze. - Mjal nie tylko ustąpi ze stanowiska, ale również przejdzie w stan czasowego spoczynku. Jego zarobki zostaną zmniejszone do równych

asystenta dyrektora. - Widać było, że Faro chce jeszcze się wtrącić, jednak Iorund kontynuował. - Jako główna dyplomatka, pani Miriam Nightbreez zostanie zwolniona z szeregów Kompani w trybie natychmiastowym, z pomniejszoną odprawą na podstawie artykułu czternastego, podpunktu piątego z umowy o zatrudnienie. Zadowolony Viremont?

- Tak. - Widać było w oczach Wergunda, że liczył na więcej, jednak bał się walczyć o wyrównanie urojonej niesprawiedliwości. Prawda była taka, że żadne redukcje etatów nie zmienią tego, co się stało.
- A co z resztą kadry decydującej? - Odezwał się w końcu Enrique. - Zwolnienie ich jest co najmniej bezsensownym marnotrawstwem, jak nie skrajną głupotą.
- Dlatego nie zostaną zwolnieni - uśmiechnął się lekko Iorund - są kompetentni i dość głów już polecało. Wróć do pracy, rozważymy obniżenie stanowiska lub zarobków, chociaż nie widzę takiej potrzeby. Teraz sugeruję przerwę, chyba, że państwo wolą aby raporty odnośnie przewidywanych straty w tym kwartale oraz następujących trafiły na wasze biurka.

Enrique głosował za drugą opcją. Już dość czasu zmarnował na to spotkanie. Ostatecznie udało im się dojść do konsensusu, że drogą słowną nic więcej nie osiągną.

Światło luminiwizjera zgasło zostawiając go na ułamki sekund w ciemności, jednak Yzabel Alma już zdążyła odpalić kaganek którego ciepłe światło rozlało się po gabinecie.

- Powiedzieć mamie, że skończyłeś? - Spytała odkładając notatnik na biurko i wstając, by rozprostować nogi.
- Nie, sam pójdę - czuł się tak, jakby przyrósł do fotela - ty masz egzamin, więc powinnaś się uczyć - widząc, że córka chce ponownie usiąść, powstrzymał ją gestem - na miłość panienki, rób to w ogrodzie. Potrzebujesz powietrza. A słońce to zasób, który szkoda marnować.

ZA TERALĘ

Okrzyk unosi się nad polem. Ponad bolesnym rzeniem koni. Ponad szczękiem metalu o metal. Ponad jękiem umierających.

Mlask błota pod skórzaną podeszwą buta. Każdy krok jest coraz trudniejszy. Pot zalewa mu oczy, miesza się ze żelaznym smakiem krwi wypełniającym mu usta. Ciężar żelaznej sztaby w dłoni coraz bardziej go przygniata. W drugiej dzierży drzewce proporca osadzonego na włóczni.

Krzyczy. A wraz z nim ryczy kniazowska drużyna.

ZA BOLEMIRA

ZA KNIAZIA OBIECANEGO

Ogień.

Trawi go. Szarpie. Rozrywa.

Draży sobie drogę wzdłuż jego żył, pulsujących do rytmu gorejącego serca. Klatka żeber ściska go boleśnie, nie pozwalając by życie z niego uszło. By uciekło.

Chłód czegoś zimnego na czole. Dają ulgę. Dają ból.

Starucha stojąca gdzieś obok uśmiecha się spod kaptura.

- Gdzie posiłki?!

Nie zaprzęta sobie tym głowy. Nie ma czasu. Siecze. Tnie. Brnie przez masę ciał, krwi i błota. Wytacza kurs na morskim szlaku do młodzieńca na tańczącym koniu. Bolemir. Jego kniaź. Jego przyjaciel. Jego brat krwi.

Potyka się o samnijskie truchło. Puste oczy janczara patrzą w niebo. On już jest u Velei. Albo gna po drzewie światów. Czort go wie.

Nie ma czasu na zastanowienie. Przed zdradzieckim cięciem ratuje go drzewce włóczni. Szabla samnijski wbija się głęboko w drewno. Szarpie próbując uwolnić ostrze. A on korzysta z jej własnej siły i pędu. Ciężarem własnego ciała i pancerza wpada wprost na nią. Ślizgają się. W jej oczach widać strach. Strach i upór.

Próbuje poruszyć palcami. Podnieść rękę. Ból. Obezwładniający ból odbierający oddech. Znowu czuje jak go rozrywa. Pochłania, wciąga w ciemność. Serce znowu się tłucze próbując ująć z zamknięcia. Może to powinno już się skończyć?

Nozdrza ma zatkane, czuje w ustach smak krwi. Przez szum w uszach przebija się jakiś dźwięk. Brakuje mu jednak sił by się na nim skupić. Umyka mu sens słów.

Czyżby był w niewoli? A może to już mgły? Lecz czemu nie trafił do halli Rugiewita?

Starucha wzdycha, opierając się ciężko na kosturze.

BRONIĆ KNIAZIA!

Bronić kniazia? Rozgląda się szukając go wzrokiem. Młodego jeźdźca otoczyło kilka stepowych psów. Skandują swoje dziwne okrzyki nie bacząc na tańczące w powietrzu kopyta. Bolemir szaleńczo tnie to z jednej storny to z drugiej.

A on? Czemu nie jest przy kniazu?

Rzuca się naprzód, sięga po miecz. Miecz? Gdzie jego miecz?

No tak. Stracił go. Ostrze złamało się na samnijskiej kości. Została mu włócznia i nóż. Nie ważne. Do przodu. Do kniazia.

To chyba kołysanka. Próbuje otworzyć sklezione oczy. Jedno się poddaje pod naporem opuchlizny. Drugim udaje mu się złowić niewyraźny kształt. Kobieta siedzi obok, na krześle. Na jej włosach tańczy blask ognia. Nie. To jej włosy są ogniem. Płomienieście rude sploty, niczym stopiona miedź. Jednak zanim uda mu się odezwać odpływa znowu. To sen? Czy rzeczywistość?

Dopadli go. Koń kwiczy przeraźliwie. Samnijskie psy ściągną kniazia z siodła. Jeszcze walczy próbując stawić im opór. Pomógłby mu. Powinien mu pomóc. Jednak nie jest w stanie się podnieść. Drzewce włóczni leży przed nim złamane. Maca dłońmi szukając oparcia, zatapia palce w błocie. Kątem oka łapie ruch na wzgórzu. Samotny jeździec podrywa konia i zmierza na południe. Pod opuszkami czuje zniszczoną materię sztandaru który niósł z dumą do walki. Nad nim zimowe słońce odbija się w ostrzu szabli.
I wie. Wie co nastąpi. Więc podnosi spojrzenie by zajrzeć w oczy śmierci.

Starucha pochyla się nad nim. Jej oddech powinien łaskotać go w skórę. Jednak nic nie czuje. Jej głos pozbawiony jest jakiegokolwiek barwy emocji.

- Cii synku - szepcze - jeszcze nie dziś. Nie dziś.

Gdy próbuje na nią spojrzeć odkrywa, że nikogo tam nie ma. Oprócz dziewczyny o rudych włosach teraz drzemącej na krześle.

W izbie pachniało ziołami suszonymi się pod powałą, świeżo wypieczonym chlebem, trochę też miodem który został po zeszłorocznych zbiorach. Czuć było woń palącego się drewna i słomy którą uszczelniono szczeliny między belkami by zima nie miała wejścia do środka. Czuć było porządkiem i zadbanie, wonią domu i bezpieczeństwa. Coś czego próżno było szukać po gęstym borze czy zapadłych starych kryptach. Łowca popatrzył na opróżnioną w połowie miskę gęstej mięsnej polewki. Możliwe, że wzięcie dokładki było błędem, zwłaszcza, że pierwszą porcję zjadł ze świeżym chrupiącym chlebem. Dobrze było zjeść syty posiłek po tygodniu odmarzania sobie tyłka w górach - zwłaszcza, że za dnia mogło być ładnie, ale w nocą nawet w dobrze rozbitym hamaku ciągnęło mu zimnem.

- Przeceniłeś swoje możliwości? - Spytała kobieta opierając się o blat na którym chwile wcześniej oprawiła zającą. - Starzejesz się.
- Nie truj. Ja tylko doceniam dobrą kuchnię. - Odpowiedział odchylając się na ławie. - Dziękuję. Pyszne jak zawsze.

Jej mina była niezwykle wymowna, coś pomiędzy "wiem" a "spróbowałbyś powiedzieć, że ci nie smakuje". Znali się od lat, więc doskonale wiedział, że zawsze znajdzie tu gošcinę. Chociaż zdarzyło się raz lub dwa, że dla draki Luta do jego porcji dorzuciła bryłkę soli. Traktował to jako niezwyklej oznakę przyjaźni i jej sympatii, bo sól była mimo wszystko droga a już zwłaszcza w kawałkach.

- Lepsze niż woda z kałuży? - Parsknęła, sięgając by odebrać od niego talerz.
- Nie śmieć się z łowcy, czasem woda z kałuży to rarytas.
- No ja się nie dziwię, że żadna baba normalna nie chciałaby się z wiązać z chłopem co deszczówkę z drogi spija. Nie wiem co te driady i południce w was widzą.
- A co? Zazdrosna? - Odsunął w połowie pełną miskę poza jej zasięg w głąb stołu za co został nagrodzony zirytowanym spojrzeniem.
- O liście i igliwie w pościeli, futro z liniejącej baby czy sierp na gardle jak małżonka uzna, że "aż po wieczność" trzeba spełniać po śmierci?
- Doskonale wiesz o co pytałem.
- A ja się zastanawiam czy draki szukasz, czy jednak chcesz mieć tu zawsze gošcinę. Bo sam wyjdiesz stąd liniejąc albo gubiąc łuski. - Złapała się pod boki dalej mrużąc oczy. - Już to widzę. Trupojada jakiegoś ubić trzeba, zasadzkę urządzić a ty będziesz kichać bo Ci kocie futro zacznie się sypać z czoła. Wiedźmę w jej własnym domu denerwować to nierozsądne.
- Nie sądziłem, że kiedykolwiek uważałaś mnie za rozsądnego. - Szare oczy lśniły mu z rozbawienia.
- Kiedyś się łudziłam. Teraz już wiem, że mamun Cię w kołysce podmienił. - Przypatrzyła mu się uważnie. - Albo za dużo razy uderzyłeś głową w stół próbując kraść słodycze. - Nie cofnął głowy gdy zmierzwiła mu ciemne włosy. - Dasz te miskę, czy wolisz pogadać co Cię przywiał?

Ciężkie westchnięcie wgrzyło się między nich tworząc ponowny dystans. Dojedzenie posiłku, mimo, że pękał, wydawało się teraz lepszą wizją niż konfrontacja z Lutą. Zwłaszcza, że nie był zbyt dobry w tego typu rozmowach. Wwiercające się w niego spojrzenie z drugiego kąta pomieszczenia jednak go poganiało, chociaż wiedźma zdawała się teraz ignorować zwiniętą na zydlu istotę.

- To będziesz gadał, czy mam zacząć za Ciebie? - Spytała a gdy odpowiedziała jej cisza, podążyła za jego spojrzeniem. - O nią idzie?
- To skrzak.

Istota jakby na zawołanie skrzywiła się pokazując długie zęby zniesmaczona jego uwagą. Wydało też z siebie dźwięk przypominający ni to skrzeknięcie ni to miauknięcie. Czarownica podeszła na powrót do blatu i odkroiła długą wstążkę mięsa od oprawianego wcześniej większego kawałka.

- No nie mów geniuszu. - Mruknęła, po czym podrzuciła płat w powietrze w stronę ciemniejszego kąta. Skrzak smyrznął z ciemności prezentując rude, czarne i białe plamy futerka gdy przebiegł przez płamę światła by chwycić ochłap i wrócić na stołek mlaszcząc i

mrucząc. Z drugiego kąta dotarło do niego niezadowolone burknięcie i błysnęły zielone oczy w ciemności.

- Dwa skrzaki. - Podsumował, a jego ręka odruchowo powędrowała do pasa gdzie powinien być miecz. Tyle, że go nie było. Zostawił go przy wejściu. Zaklął cicho.
- Liczyć też już uczą w akademii? - Westchnęła. - Tak. Są tu dwa skrzaki. O co Ci chodzi Mściwój?
- To nierozsądne. Jeden już umie narobić bałaganu w całej wsi.
- Tak? - Parsknęła. - A od kiedy to uchodzę za rozsądną?
- Luta...
- Nie zaczynaj. - Syknęła. - Doskonale wiesz, że dobrze traktowane skrzaki to błogosławieństwo. O dom zadbają, w sieni porządek, gryzione się boją.
- To nie koty żeby myszy gonić.
- Martwiłabym się jakby kot latał z miotłą. - Wzruszyła ramionami. - Te dwa miały pecha. W poprzednim domostwie je źle traktowali to się odplącały. Masz na nie zlecenie, czy co?
- Martwię się.
- To przestań. Ja umiem sobie radzić z cudzymi kłótwami i nawężami. Nie straszne mi ich psoty. Lepiej mają u mnie, a tamtym... Tamtym też lepiej, że są u mnie. - Uśmiechnęła się w stronę kąta w którym z cichym "glup" został pochłonięty do końca kawałek mięsa.
- A co jak im przestanie być dobrze? Wiedźmie czary w rękach stworzeń które nie mają naszej ludzkiej moralno...
- Skończ. Nie jesteśmy na wykładzie w akademii. - Mruknięła. - Moja decyzja, moja odpowiedzialność. Jak nie masz na nie zlecenia to odpuść. Ludzi co tu przychodzą i tak unikają, a jak nikogo nie ma to i mi dotrzymują towarzystwa. - Widząc jak znów próbuje powiedzieć jej imię by ją upomnieć syknęła. - Ty podjąłeś swoje wybory. Ja podejmuje swoje. Nie truj mi. - Odkroiła jeszcze kilka kawałków mięsa i przełożyła do glinianej misy zalewając to gęstą śmietaną. - Są pożyteczne o czym doskonale powinieneś wiedzieć. Nie zraniły nikogo, inteligencją nie grzeszą - na zirytowane syknięcie spod łóżka zareagowała cichym śmiechem - przepraszam, mają ją na poziomie ludzkiego czterolatka. - Przeszła z misą w półcień i odstawiła ją na podłogę. - Smacznego.

Spod łóżka przemieszczając się na czterech kończynach smyrgnęło pokryte czarnym futerkiem stworzenie. Wsadziło przednią łapę do misy i wyciągnęło trochę mięsa by wpakować sobie do paszczy. Z pyska przypominało coś pomiędzy kotem a człowiekiem - dziwnie ogromne migdałowe oczy, mały nos, wąski podbródek. Druga istota która do niej po chwili dołączyła była równie cudaczna, ale pokryta trójkolorowym futrem.

- Paskudy. - Mruknął przesuając się powoli na skraj ławy by lepiej móc obserwować pałaszujące stwory, chociaż ten trójkolorowy miał dużo mniej... gracji, zwłaszcza gdy próbował pakować całość pyska do misy chlapiąc wokół śmietaną.
- Ale moje. - Powiedziała siadając koło niego. - Nigdy nie miałam specjalnie dobrego gustu. - Oparła głowę o jego ramię. - Kiedy wyjeżdżasz?
- W maju muszę być w akademii. Chcę zobaczyć młodzików których mi przydzielili. Jacyś tryntyjczycy. - Oparł się wygodniej o ścianę i sięgnął za kobietę ramieniem by ją objąć. - Przechodzili przyspieszone szkolenie, potem w lipcu zabieram ich na egzamin do Jędzy.
- Nie lubią ich? - Spytała z rozbawieniem gdy wspomniał o łowczyni. - Pozdrów ją ode mnie jak się spotkacie.
- Nie mam pojęcia. I pozdrowię, pewnie się stęskniła.
- A kiedy wrócisz? - Oderwała spojrzenie od skrzaków przeciągających pomiędzy sobą miskę. Czarny przez chwilę próbował trafić łapą trójkolorowego, jednak ten uskoczył i wrócił do zlizywania rozlanej po klepisku śmietany.
- Pewnie w sierpniu, chyba, że zlecenia będą. Zobaczysz się.
- Czyli wrócisz jak Ci tylek już odmarznie i znów trzeba będzie trzeba wlewać w Ciebie leki. - Westchnęła lekko. - Dobrze, ale wrócisz.
- Zawsze wracam Luto. Co by nie było. Zawsze wracam.

- Żarmiro Trzydwarówno?

Uciążliwe zapytanie wdzierало się w spokój który próbowała osiągnąć. Postanowiła więc je zignorować i wziąć głębszy wdech przez nos. Od rana próbowała znaleźć równowagę w swoich myślach, jednak ciągle jej ktoś w tym przeszkadzał. Najpierw o poranku obudziło ją kilkoro dzieci uczących się w Kowenie Jarzębiny. A stanowczo nie chciała wygrzebywać się z łóżka o świcie po hucznych obchodach Rzecznych Godów. Potem zawracano jej głowę głupotami o niskiej wadze. Poszła więc w las szukając jakiejś spokojnej polany. Teraz gdy grzała się w promieniach Sola udawało jej się już uspokoić lekko rozdrażnienie. A przynajmniej tak jej się wydawało.

- Żarmiro Trzydwarówno?!

Zacisnęła szczękę by nie rzucić nieprzyjemnych słów. Na nowo sięgnęła w głąb siebie chwytając tą ulotną nić z krosna własnych emocji, by...

- Żarmiro Trzydwarówno!

- Czego? - Warknęła otwierając oczy.

No i tyle z harmonii którą powinni kierować się druidzi. Dawna mistrzyni często żartowała, że Sol pobłogosławił ją nie tylko swymi łaskami, ale i niewyparzoną językiem. Tym samym chyba doprowadziła do palpacji serca stojącego przed nią młodzika. Z reputacją mądrej i stonowanej kobiety też mogła się pożegnać, ale to nie było nigdy na liście jej priorytetów.

- Wieści miałem dostarczyć... - Wydukał ewidentnie zszokowany jej zachowaniem.

Zemła przekleństwo w ustach. Chłopaczek nie wyglądał na jednego z uczniów kowenu więc pewnie przybył z zewnątrz, a ktoś z jej braci lub sióstr wskazał mu drogę do niej. Przez chwilę przyglądała mu się zmrużonymi oczami.

- Jeśli są od Nawoja z Dębów to możesz doń wrócić i przekazać, że mnie to nie interesuje - mruknęła dalej nieprzyjemnym głosem - możesz mu też powiedzieć, że jak chce mi zawracać głowę to może ruszyć się do mnie sam, a nie włóczy się po kraju używając Rugiewita jako wymówki.

- Nie-e pani Żarmiro. - Chłopaczek zgiął się pod jej kolejnym zirytowanym grymasem. - Ja... Too...

- No wyduś to z siebie.

Bo cię trzasnę normalnie - dokończyła w myślach.

- To ten. Wieści z Kowenu Dębu. - Na jego słowa twarz jej złagodniała. Czyli wieści od dawnej mistrzyni.

- No mów, nie gryzę. - Uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

- Emm... - Chłopak wbił spojrzenie w ziemię. - Mamy ogłosić we wszystkich kowenach wieść. Flaminika Mojmira została zamordowana.

Poczuła jakby ktoś wylał na nią zimny kubel wody a niewidzialne pęto zacisnęło się na gardle. Jej serce zamarło na moment, a potem coś w niej się złamało. Pękło. Drgnęła. Czas jakby zwolnił. Zagiał się, zaburzając wszelką logikę. Równowaga wewnątrz niej już nadszarpnięta, teraz rozpadła się na kawałki.

- Kiedy? - Tylko tyle była w stanie wykrztusić.

- Trzy dni temu. W noc Rzecznych Godów.

Przełknęła z trudem ślinę walcząc z suchością która teraz drażniła jej gardło. Po kubie zimnej wody nadeszła i fala gorąca. Poczuła jak moc świerzbii ją w opuszkach palców żądając ujścia.

- Możesz odejść. Przekazałeś swoje wieści. - Powiedziała głucho.

- Ale... em... Mam jeszcze przekazać rozkaz. - Zaczął grzebać stopą w ziemi, podczas gdy ona rozpoczęła rozważać jak bardzo zaburzy równowagę świata jeśli teraz wyśle chłopaka do Veli. Oczywiście jeśli nie nauczy się przekazywać informacji szybciej.

- Tak? - Ponagliła go.

- Masz się stawić Pani na dworze kniazia Jastrzębca.

Wzięła wdech, głęboki. Potem wydech. Ponowny wdech.

- Eo, daj cierpliwości bo jak dasz siłę to go uduszę. - Wymamrotała pod nosem.

- Słucham? - Zapytał młodociany postaniec słysząc jak coś mówi niezbyt wyraźnie.
- Zapytałam którego. Kniazia Derwana Jastrzębca czy Witomira Jastrzębca? - Powiedziała już głośniejszym głosem. Ea nie odpowiedziała na wezwanie, więc walczyła ze sobą by gorąca krew nie przejęła kontroli nad jej głową. Jeszcze chłopaczysko by stał się kozłem ofiarnym dla jej złości i żalu.
- A nie powiedziałem? - Spytał zdziwiony, ale gdy zaczęła podnosić się z ziemi na której do tej pory siedziała, uznał, że lepiej doprecyzować: - Kniazia Derwana Jastrzębca. - Cofnął się przed nią o krok. Kobieta nie wyglądała groźnie, ale coś w jej postawie mówiło mu, że to złudne wrażenie. - Mogę już pójść?
- Uciekaj. - Warknęła.

Chłopak nie zastanawiał się dwa razy. W tym czasie druidka otrzepała materiał spódnicy i ruszyła pośpiesznie w stronę Kowenu Jarzębiny który od trzech lat był jej domem. Serce na którym Sol odcisnęła swoje piętno kazało jej gnać na północ. Lecz rozsądek mówił, że nie przywróci tak życia mentorce i zarazem przyjaciółce. Zaś jeśli stary kniaź ją wzywał i to wiedząc o śmierci Flaminiki to najwyraźniej miał swoje powody. Musiała się pośpieszyć.